

Zawiadując pamięcią

SZKICE LITERACKIE SŁUCHACZEK GUTW

Uniwersytet trzeciego wieku jest niewątpliwie fenomenem społecznym. Jego początki sięgają lat 70., a dokładnie roku 1973, w którym to profesor prawa we francuskiej Tuluzie, Pierre Vellas, postanowił rozwinąć kształcenie ustawiczne osób w późnej dorosłości i w odpowiedzi na zainteresowanie szkołą letnią dla seniorów otworzył w swoim mieście pierwszy uniwersytet trzeciego wieku. Instytucja ta cieszyła się ogromnym powodzeniem, a idea zakładania uniwersytetów trzeciego wieku przy kampusach uniwersyteckich rozprzestrzeniła się w całej Europie, a następnie na świecie.

Choć pierwszy polski uniwersytet trzeciego wieku (nazwany Studium Trzeciego Wieku) powstał w roku 1975 z inicjatywy prof. Haliny Szwarz, to prawdziwy rozwój tej idei nastąpił dopiero w nowym millennium. Obecnie w Polsce istnieje ponad pół tysiąca takich jednostek, funkcjonujących w większym lub mniejszym stopniu w powiązaniu z uczelniami badawczymi i dydaktycznymi.

Słuchacze UTW uczestniczą w wykładach o różnej tematyce, często uwzględniającej potrzeby wynikające z wieku, oraz w rozmaitych warsztatach, pozwalających im m.in. zapoznać się z działaniem nowoczesnych urządzeń. Przygotowuje się dla nich również

lektoraty języków obcych, zajęcia sportowe aktywizujące i rekreacyjne. To zróżnicowanie wynika oczywiście z zainteresowań, ale uwzględnia też krąg potrzeb osób w późnej dorosłości.

Gdański Uniwersytet Trzeciego Wieku, który obchodzi w tym roku jubileusz 20-lecia, prowadzony jest w systemie francuskim, najbardziej rozpowszechnionym na świecie. Powołano go 3 listopada 2004 roku uchwałą Senatu Uniwersytetu Gdańskiego, a inicjatorką jego utworzenia była prof. dr hab. Halina Piekarek-Jankowska, ówczesna prorektor ds. kształcenia UG. Przez wiele lat był on oblegany przez słuchaczy, niezmiennie zainteresowanych wykładami i zajęciami prowadzonymi przez doświadczonych nauczycieli akademickich oraz trenerów i specjalistów różnych dziedzin.

Jestem jedną z takich osób, nauczycielką kreatywnego pisania, redaktorką i literaturoznawczynią. W Gdańskim Uniwersytecie Trzeciego Wieku prowadzę warsztaty nazwane przekornie, ale i propagatorsko „Saga rodzinna”, zajęcia twórcze, polegające na spisaniu rodzinnych historii. Owa przekora w tak zbożnych i niewinnie wyglądających zajęciach tkwi w szczegółach. Cóż może być bowiem trudnego w zapisaniu tego, co wszyscy w rodzinie od

lat wiedzą, w uporządkowaniu dzienników, pamiętników, uszeregowaniu faktów dotyczących przodków? Otóż jest to forma. W obliczu treści niepodawanej w wątpliwość forma przejmuje najważniejsze zadanie. Można bowiem zapisać rzeczy tak, jak się one odbywały, po kolei, chronologicznie, z uwzględnieniem dat dziennych i miesięcznych wydarzeń, koligacji dalszych i bliższych, z nazwami szkół, zakładów pracy, miasteczek, rzek, gór i wszystkich możliwych dyplomów. Ale gdyby tak odwrócić hierarchię, gdyby to sama opowieść stała się dominującym elementem tego przedsięwzięcia? Gdyby to pomysł rządził całym tym zbiorem faktów? A może opowiedzieć historię rodziny kluczem kulinarnym albo wędrującym po członkach rodziny żółtym fotelem? Lub spojrzeć na nią z lotu ptaka jak na mapę z umiejscowionym pośrodku domem-*axis mundi* w chwili,

gdy właśnie rodzi się nowe dziecko? Dlaczego fakty i daty mają zdominować nasze myślenie o rodzinnych relacjach i pokoleniowej sztafecie? Przecież pamięcią naszej rodziny mogą być przepisy na wigilijnego szczupaka!

Pamięć jest tematem podstawowym osób w późnej dorosłości. Nie w kontekście chorób związanych z jej utratą, ale jako nośnik własnych wspomnień, przeżyć, relacji, rodzinnych historii, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Pamięć przez wieki utożsamiano ze źródłem wiedzy o faktach, rzadziej postrzegano ją jako przestrzeń interpretacyjną i wyobraźniową, miejsce, gdzie nasze wspomnienia przekształcają się w opowieść subiektywnie nacechowaną, nasiąkniętą emocjami i terażniejszymi potrzebami. Pamiętamy o zdarzeniach tak, jak potrzebujemy o nich pamiętać w danej chwili, w danym momencie naszego życia. Badania

nad pamięcią zbiorową, pamięcią traumy i osobistym arsenalem wspomnień pokazują nam niezbitą jej niestałość, swoistą fluktuację, falowanie obrazów i ciągłe zmiany w obszarze tego, co zapamiętane. Doskonale ukazują to właśnie wspomnienia rodzinne, historie utrwalone w dziennikach i opowieściach przy świątecznym stole, gdy któryś ze świadków zdarzenia naszą relację puentuje nieśmiertelnym: „Nie, to nie było tak, ja to inaczej pamiętam”.

O tym, jak zapamiętały atmosferę i koloryt własnej rodziny uczestniczki warsztatów, możemy się przekonać, czytając kilka fragmentów napisanych w ramach zajęć. To pierwsze szkice powstających książek. Jestem przekonana, że te pełne humoru, wrażliwości i przekory teksty trafią do Waszych serc.

Zapraszam do lektury.

Elżbieta Żukowska

Ewa Filoda

Narodziny we dworze

Jest taki region na Pomorzu Gdańskim, który nazywa się Kociewie. Położony na zachodnim brzegu Wisły w dorzeczu Wdy i Wierzycy, obejmuje wschodnią część Borów Tucholskich. Na północnym skraju tych borów, nad rzeką Wdą, leży osada Wdecki Młyn. Jeszcze długo przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości została założona tam domena, do której, oprócz 110 ha gruntów, należały tartak, młyn oraz drewniany dwór wybudowany pod koniec XIX wieku. W tym to dworze na poddaszu,

w pomieszczeniach dla służby, mieszkała rodzina zarządcy majątku.

Był 26 czerwca 1930 roku, kiedy do dworu zbliżała się szybkim krokiem akuszerka, która pomagała w porodach kobietom z pobliskich wiosek. Na ilość pracy nie mogła narzekać, bo w tamtych czasach rodziny bardzo często były wielodzietne i nierzadko posiadały nawet po kilkanaścioro dzieci. Akuszerkę wezwano do żony zarządcy. Miało się urodzić szóste dziecko Jana i Heleny. Nie wiadomo, czy poród był ciężki, czy może lekki,

jak to czasem bywa przy kolejnym dziecku. Niemniej na świat przyszedł zdrowy chłopiec, któremu nadano imię Konstanty – po wujku, który zginął w Serbii podczas I wojny światowej.

Zapewne starszy o dwa lata Stanisław ucieszył się, że ma braciszka i bliskiego kompana do wspólnych zabaw. Choć dzieci w wiosce nie brakowało to lepiej, gdy ktoś taki mieszka pod wspólnym dachem. Czas pokazał, że właśnie ci dwaj bracia stali się bardzo zżyci ze sobą i wiele zabaw, a później obowiązków, wykonywali razem.

Kinga Grzywacz
Fotel

Mój dom rodzinny to mieszkanie w Krakowie, w kamienicy „Pod żabą”. Było to lokum moich dziadków, Ireny i Stanisława, pochodzących ze Lwowa, które wynajmowali jeszcze przed II wojną światową – dzięki temu po ucieczce ze Lwowa rodzina mogła się tam schronić. Po wojnie w wyniku tzw. kwaterunku zameldowano w nim dwie inne, obce rodziny, tak że dziadkowie, a od 1950 roku również moi rodzice Maria i Waclaw, z dziećmi: Barbarą, Danutą i Krzysztofem zajmowali dwa pokoje. Kuchnia i łazienka pozostawały wspólne, więc było nam tam bardzo ciasno.

Wychowałam się wśród starych mebli i bibelotów, które mimo powojennej biedy kupowała moja mama Marysia. Lubiła otaczać się ładnymi przedmiotami, ale z jej domu rodzinnego ze Lwowa uratował się tylko fotel.

Historia tego fotela jest niczym karta z historii Polski. Gdy we wrześniu 1939 roku do Lwowa weszła Armia Czerwona, moi dziadkowie z dziećmi musieli schronić się w domu prababci Marii, bo zostali ze swojego wyrzuceni. W mieszkaniu tym, przy ul. Poniatowskiego we Lwowie, leżała sparaliżowana prababca Maria.

Pod koniec listopada 1939 roku rozpoczęły się masowe wywózki na Sybir, a dziadek Stanisław dowiedział się z jakichś nieoficjalnych, ale rzetelnych źródeł, że rodzina znajduje się na listach do wywiezienia. Moja babcia Irena wraz z dwójką dzieci: trzynastoletnią Marysią i siedmioletnim Maćkiem uciekła wtedy przez „zieloną granicę”, po lodzie, przez zamarnięty San do Generalnej Guberni. Udało im się dotrzeć do Krakowa, nocowali po drodze w znajomych domach, a często w stodołach, bo po klęsce wrześniowej i exodusie

Polaków na wschód wiele siedlisk było zamkniętych.

Dziadek Stanisław pozostał we Lwowie, ukrywając się przed NKWD, zapewniał też opiekę chorej mamie Antoninie, która zmarła we Lwowie w 1943 roku. A dla prababki Marii zorganizował transport do Polski, do okupowanego przez Niemców Bełżca, i przewieziono ją tam na fotelu, ponieważ była sparaliżowana i mogła tylko siedzieć! Tak właśnie przywędrował tu jedyny rodzinny mebel uratowany ze Lwowa.

Po śmierci prababci w Bełżcu w 1943 fotel przewieziono do Krakowa i służył mojej babce Irenie, która w 1960 roku zamieszkała w Gdańsku-Jelitkowie, a następnie w Gdańsku-Oliwie.

Po jej śmierci w roku 1992 fotel przez wiele lat stał w moim domu w Gdańsku, a obecnie jest ozdobą mieszkania mojej córki Małgorzaty w Królestwie Niderlandów.

Zofia Remlinger
Zauroczenie

Często widziałam mojego tatę zagłębionego w lekturze książek, zwłaszcza zimą, gdy miał więcej czasu. Lubiłam spoglądać na jego twarz pochyloną nad stronicami, odgadywałam, o czym czyta, raz miał twarz spokojną, innym razem rozjaśniała ją radość, ale czasami była też pochmurna i niespokojna. Kiedyś spytałam, skąd przynosi książki.

– Wypożyczam z gminnej biblioteki – odpowiedział.

Pewnego dnia po wyjściu ze szkoły postanowiłam poszukać tej biblioteki. Mieściła się w małym, drewnianym domku, na którym widniała czerwona tablica

z napisem: „Biblioteka Gminna w Zawidzu”. Nacisnęłam klamkę, weszłam do środka, na samym początku dużego pomieszczenia przy stoliku siedziała pani w okularach.

– Dzień dobry – powiedziałam.

– Dzień dobry – odpowiedziała, uśmiechając się do mnie życzliwie.

– Przyszłam wypożyczyć książkę.

Pani przyjrzała mi się i zapytała:

– Jesteś tu pierwszy raz?

– Tak – przyznałam.

– Do której klasy chodzisz?

– Do drugiej.

– Wypożyczasz książki w szkolnej bibliotece?

– Wypożyczam, ale chcę też wypożyczać w tej, bo mój tatuś tu przychodzi.

Bibliotekarka uśmiechnęła się i dodała:

– No to wybierz sobie jakąś książeczkę.

Byłam zdziwiona, ponieważ w szkolnej bibliotece pani podchodziła do regału i sama przynosiła lektury. Rozejrzałam się, było tam dużo regałów z książkami, na niektórych półkach widniały napisy na kartonowych tabliczkach. Po prawej stronie stał duży, niski stół. Z daleka widziałam poukładane książeczki. „To stamtąd będę

wybierała” – pomyślałam. Przez chwilę stałam w milczeniu, wokół było cicho i tajemniczo, skierowałam się w stronę regałów, koniecznie chciałam przeczytać, co jest napisane na tabliczkach. Nie mogłam się doczekać, kiedy wybiorę dla siebie książkę, ale z rozmysłem zostawiłam tę radość na koniec. Czytałam napisy: „lektura dla starszych dzieci”, „lektura dla młodzieży”, „lektura dla dorosłych”. Na mniejszych tabliczkach widniały nazwy: „baśnie”, „książki przygodowe”. Było ich tam więcej, ale nie wszystkie rozumiałam.

Wreszcie podeszłam do stołu. Okładki wszystkich książek były widoczne, ukazał mi się kolorowy, tajemniczy świat. Szłam wolno dookoła stołu, czytałam tytuły, starałam się przeniknąć moją wyobraźnią do środka książki, zgadując, o czym będę czytała. Wydawało mi się, że każda książka, jedna przez drugą, mówi: „Wybierz mnie”. Którą

wybrać? *O Janku wędrowniczku, Co słonko widziało?, Kaczkę dzławaczkę, czy może Bajkę o rybaku i złotej rybce?* Było jeszcze wiele tytułów, aż w końcu mój wybór padł na książkę *Na jagody*. W decyzji pomogła mi przygoda z wierszykiem *Choinka w lesie*, którego nauczyłam się w latach przedszkolnych.

Pewnego razu do naszej pierwszej klasy przyszła nauczycielka, która nas nie uczyła.

– Drogie dzieci – powiedziała – zbliża się uroczysta choinka w szkole. Na tej uroczystości dzieci będą recytowały wiersze, zespoły szkolne będą śpiewały i tańczyły, a później zagra zespół i wszystkie dzieci będą się bawiły. Na koniec otrzymacie paczki, które dla was przygotowało Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej. A teraz powiedzcie, kto z was umie wierszyk związany z choinką. Dzieci zgłaszały się, mówiły swoje wierszyki. Nikt jednak nie

recytował wiersza *Choinka w lesie*, a wydawał mi się najpiękniejszy, więc się zgłosiłam. Wyszłam na środek klasy jak inne dzieci, zaczęłam mówić, nieśmiałość zniknęła, słowa przeniosły mnie do lasu, poczułam wiaterek, co nasionka niesie i rozsiewa w lesie, widziałam słoneczko, co choinkę ogrzewało, dostrzegłam rosę i wody ruczaju, które choinkę poiły w ciemnym gaju, kochałam materkę, ziemię naszą czarną, która choinkę wyhodowała z ziarna.

Kiedy skończyłam mówić, pani podeszła do mnie, przykucnęła, biorąc mnie za rączki. Jej twarz była okolona czarnymi włosami i patrzyły na mnie oczy radosne, uśmiechnięte i zachwycone.

Na uroczystości choinkowej powiedziałam wiersz *Choinka w lesie*. Wraz z innymi dziećmi otrzymałam głośne brawa.

Teresa Dudek Żywot Albina

Masz chwilę? Chcę Ci coś opowiedzieć.

Był sobie pewien starszy pan. W sędziwym wieku zapadł na nieuleczalną chorobę. Wyrok był niespodziewany i niezaskarżalny. Symptomy występowały wcześniej, ale żaden lekarz nie wpadł na pomysł, żeby „zajrzeć głębiej”. Starszy pan nigdy się nie skarżył, a wręcz unikał lekarzy, szpitala czy w ogóle służby zdrowia. Obawiał się ich raczej. Kończyło się więc na badaniach podstawowych, które, poza jednym, były całkiem dobre, zwłaszcza biorąc pod uwagę jego wiek.

Codziennie rozwiązywał kilka krzyżówek, zaciekle jeździł dwa razy dziennie na stacjonarnym rowerku i kilka razy w ciągu dnia

pokonywał schody na drugie piętro, tam i z powrotem, pod byle pozorem.

Umysł niczym brzytwa. Logiczne myślenie i kojarzenie do końca. Może pamięć trochę szwankowała, zwłaszcza dotycząca tego, czego nie chciał pamiętać.

Jednak sytuacja zrobiła się podbramkowa i musiał znaleźć się w szpitalu. „Stacjonował” tam dwa tygodnie, a już po tygodniu – gdy tylko poczuł się nieco lepiej i zaobserwował bezczynność lekarzy, głównie ze względu na jego bardzo podeszły wiek – zapragnął wrócić do domu. W ostatnim okresie swego życia zakolegował się z samotnym mężczyzną, sąsiadem od niedługiego czasu, mieszkającym na parterze w tej samej klatce

bloku, w wieku około 40–45 lat, wytatuowanym od stóp do głów, który był jednakże bardzo pomocny i „pod ręką”. Pomagał starszemu panu, zwłaszcza w donoszeniu na drugie piętro „skumulowanych” raz w tygodniu zakupów. Potem okazało się, że miał żonę i dziecko, ale byli co najmniej w separacji i w Gdańsku mieszkał sam. Miał na imię Dominik.

Starszy pan miewał różne „fazy” po powrocie ze szpitala. Ratownicy medyczni przewożący go do domu powiedzieli: „Wziąć dziadka pod pachy, niech chodzi, jeszcze ze dwa lata pociągnie”. Od pierwszego dnia po powrocie ze szpitala zapewniliśmy więc całodobową pomoc opiekunki z Ukrainy, pani Ludmiły. Bardzo się z nią zaprzy-

jaźniliśmy, starszy pan był jednak mocno podejrzliwy – nie ufał jej. Oczywiście my także braliśmy czynny udział w tej opiece. Najbardziej martwiły go kwoty, które solidarnie płaciliśmy za tę pomoc.

Ludmiła postawiła starszego pana na nogi, zwłaszcza przez bardzo pomysłowe „przemycanie” różnych zdrowych składników w pożywieniu oraz przestrzeganie godzin posiłków. Na pytanie: „Co dzisiaj jadłeś?” padała odpowiedź: „A czy ja wiem?”.

Zakres opieki ewoluował. Trwało to osiem miesięcy, do czasu aż Ludmiła postanowiła odwiedzić swoją rodzinę na Ukrainie. Przerwa miała trwać około trzech miesięcy. Ze względu na wiek starszego pana udało nam się załatwić w tym czasie bezpłatną opiekę z MOPR-u na cztery godziny dziennie, dwa razy po dwie godziny w ciągu dnia.

Agnieszka, bo tak miała na imię nowa opiekunka, do południa za-

łatwiała sprawy szeroko pojętej higieny oraz przyrządzała i podawała śniadanie. Około południa zaprzyjaźnieni zakonnicy franciszkanie z kościoła obok przynosili w termosach obiady. Wieczorem wracała Agnieszka, żeby przygotować „podopiecznego” do snu i podać mu kolację.

Pewnego dnia pani Agnieszka doniosła nam, że „kolega” z parteru zagląda do starszego pana podczas naszej nieobecności. Zastanawiające, że nigdy nam o tym nie wspominał.

Czas mijał, a choroba postępowała. Starszy pan słabł, ale jego mózg wciąż działał bez zarzutu. 8 sierpnia zeszłego roku (2023) poprosiliśmy panią Agnieszkę, żeby została nieco dłużej, nawet na całą noc, jeśli zajdzie taka potrzeba. Przycupnęła na fotelu w pokoju obok, bez wiedzy starszego pana. Już wówczas samodzielnie nie wstawał. Nagle po godzinie 23.00 opiekunka słyszy,

że ktoś otwiera drzwi wejściowe. Wchodzi sąsiad „kolega”, a leżący starszy pan pyta: „No to po kielichu?”. Dominik w odpowiedzi idzie prosto do barku w pokoju, w którym nocuje Agnieszka, i natyka się na czuwającą. Agnieszka kładzie palec na usta i szepcze: „Ciiii”. Posłuszny poleceniu Dominik podchodzi z butelką wyciągniętą z barku do łóżka, przynosi z kuchni szkło i wypijają obaj po kieliszku. Sąsiad, świadomy, że w mieszkaniu tym razem jest ktoś jeszcze, szybko je opuszcza, przekręcając klucz w drzwiach wejściowych.

Ten „starszy pan” to 97-letni Albin u schyłku życia. Mój ojciec. Będzie głównym bohaterem opowiadania o trudnym momencie, długim życiu, jego wznosach i upadkach, także ze względu na czasy, w jakich przyszło mu żyć.

Ale zacznijmy opowieść od początku.

Katarzyna Kuncewicz Śleziki

– Janie, chodźże tu kartofli naskrobać – wołam z kuchni do męża. Święta świętami, ale obiad trzeba przygotować, a tu zakupy jeszcze niezrobione. Muszę iść na rynek do Wrzeszcza, szczupaka kupić do nafaszerowania. Mam nadzieję, że go dostanę, bo zamawiałam przecież wcześniej. To moje popisowe danie i ja robiłam je jeszcze w Wiłnokach, w naszym domu. Wymaga trochę wprawy, bo najpierw czyszczę rybę z łuski, jak każdą inną. Potem delikatnie nacinam skórę dookoła głowy i wtedy ściągam całą, roztropnie, żeby nie uszkodzić. Ostrożnie zbieram mięso i oddzielam je od flaków i szkieletu. Ten szkielet i głowę zostawiam na później, do gotowania. Czyste mięso przepuszczam

przez maszynkę i dodaję drobno pokrojoną cebulkę, jajko i dwie łyżki kaszki manny. Teraz można to nałożyć do skóry. Na końcu, przy głowie delikatnie zaszywam. Mam naczynie w kształcie wanienki, do którego wkładam nafaszerowanego szczupaka i go gotuję. I ot, to cała robota. Na stole wigilijnym szczupak leży na półmisku, pokrojony w plasterki, gotowy do jedzenia. Sama bardzo lubię tę rybę i też każdą inną. Człowiek od dziecka przyzwyczajony. Moja rodzinna wioska, i też okolica, leżą nad jeziorami, a w nich żyły właśnie szczupaki, okonie, płotki, krasnopiórki, wiosną jazie. Było co jeść.

Ach, z tymi świętami, zawsze jest dużo roboty. Najbardziej lu-

bię potrawy, które można zrobić wcześniej. Tak jak śleziki. To słodkości robione raz w roku, na Wigilię i podawane na jej koniec. Potrzebne są drożdże, które teraz można kupić w każdym sklepie, ale w czasie okupacji drożdży nigdzie nie można było dostać i śleziki bez nich wychodziły bardzo twarde. Zresztą z drożdżami sprawa jest prosta. Musisz je rozkruszyć, dodać do ciepłego mleka i jeszcze dosypać odrobiny cukru, żeby wyrosły, i trochę mąki do zagęszczenia. Naczynie z zaczynem przykryj ściereczką i odstaw w ciepłe miejsce do wyrośnięcia. Za każdym razem, gdy widzę jak zaczyn rośnie, to aż nie mogę uwierzyć, że drożdże są takie pracowite. Jak już wyrosną,

to żółtko rozetrzyj z cukrem oraz masłem i dodaj to do zaczynu. Dobrze wymieszaj, a potem dodaj jeszcze więcej mąki i trochę suchego maku i wyrabiaj, wyrabiaj, wyrabiaj. Teraz czas na kolejne prace ręczne, bo trzeba z tego ciasta uformować wałeczek o grubości palca, który następnie pokrój na centymetrowe kawałeczki, takie jak małe kopytka. I to połów na blaszkę do pieczenia i do nagrzanego piekarnika, ale tylko na 10 minut. Później wystarczy wyjąć, ostudzić i poczekać z ich zjedzeniem do Wigilii. Do tego czasu śleziki robią się twarde i dlatego na wigilię przygotuj słodką wodę. Każdy wrzuci swojego ślezika do szklanki i zaleje tą słodką wodą. Śleziki wtedy nasiąkają i robią się bardzo mięciutkie, słodziutkie i pyszniutkie.

Obowiązkowo w ten świąteczny wieczór podaję też kisiel żurawinowy. Zawsze go robiłam i robić będę. Nawet jeśli to teraz budzi zdziwienie u gości, w moim domu od niepamiętnych czasów ten kisiel na Wigilię był. Żurawina rośnie na bagnach i dojrzewa późną jesienią. W naszych stronach sama chodziłam i ją zbierałam. Teraz kupuję na rynku.

Jan oprawił już choinkę i na czubku powiesił lampkę-kwiatek, którą dostaliśmy w prezencie od Heli z Rymszan, jak przyjechała do nas w gości z Republiki Litewskiej. To córka mojego brata Waclawa. Zamiast świeczek mamy teraz elektryczne lampki w kształcie szyszek, grzybków i lampionów. Z przyzwyczajenia, oprócz bombek, powiesiliśmy na choince długie cukierki, które mają takie ładne, kolorowe papierki. Bombek mamy mało, bo gdzie to wszystko trzymać w tak małym mieszkanku. Jedno jest dobre – nie ma za dużo sprzątanina. Raptem jeden pokój, kuchnia i mała łazienka. Ale dla nas dwojga to dosyć. Całe

szczęście są dwa balkony i to całkiem spore. Na balkonie przy kuchni postawiliśmy szafki.

Ciekawa historia z tymi szafkami jest. Kiedy przyjechali my z Wileńszczyzny do Polski, zajęliśmy gospodarstwo w Koniewie pod Lidzbarkiem Warmińskim. Co to było za wspaniałe gospodarstwo – całe wyposażone w maszyny i urządzenia pomocne do pracy w polu i nawet woda była doprowadzona do kuchni. Obchodząc okolicę, Jan trafił na ponemieckie bunkry, cały ich system, w których Niemcy byli zakwaterowani. Podobne znajdowały się w Nidzicy i w Wilczym Szańcu, w którym przebywał Hitler. W tych bunkrach mieszkało wojsko wraz ze swoimi dowódcami, więc wyposażono je we wszystko co potrzebne do walki, czyli broń i amunicję, oraz rzeczy do mieszkania. I właśnie tam były te szafki. Metalowe, z drzwiczkami wyłożonymi gumą i dużą rączką, która te drzwiczki zamykała. To powodowało, że szafki bardzo dobrze izolowały. Trzymam więc w nich różne słoiki, a w gorące dni nawet codzienne jedzenie, co jest bardzo wygodne, bo lodówka w kuchni mała jest. Latem, na tym samym balkonie, w skrzynkach, hodujemy własne pomidory. Wiem, jak się z nimi obchodzić, więc zbiory mamy spore. Na drugim balkonie, od pokoju, rosną tylko kwiaty. Najbardziej lubię turki, ale pomarańczowe. Mają specyficzny zapach i odstrasza je nim wszelkie robactwo. Mnie ten zapach nie przeszkadza, za to kwitną całe lato, a ja bardzo lubię kwiaty. Na tym balkonie postawiłam krzesło i latem, w ciepłe dni, siedzę sobie na nim i cieszę się słońcem i tymi kwiatkami. Czasami przyjeżdża do nas Irena, córka mojej przyjaciółki z lat młodszych – Marysi. Ona wtedy śpi na tym balkonie. Bardzo to lubi.

Na Wigilię przyjdą wszystkie dzieci i wnuki. Opatrzność Boża nad nami czuwa, że jesteśmy razem. Nam tutaj się życie ułożyło, ale jak sobie pomyślę o reszcie rodziny, to mi się płakać chce. I cały czas dziękuję Bogu za to, co mam.

W naszym domu, w Wiłnokach, na Wileńszczyźnie, Wigilia wyglądała zupełnie inaczej. Było to dla nas wielkie święto i bardzo się do niej wszyscy przygotowywaliśmy. Najpierw na kolację łowiono rybę z zamrożonego jeziora. Jak nie napadało śniegu, tylko ścisnął sam mróz, nie było to trudne. Szło się po zmroku, zapalało wiązki słomy, żeby było jasno, i szukało się szczupaka pod lodem, bo ten często sobie tam siedział. Kiedy go już się znalazło, brało się kakun – drewniany młot na długim kijku – i uderzało nim w łód nad głową szczupaka, żeby go ogłuszyć. Potem rozbijało się lód i ryba była gotowa do wyjęcia. A potem dostawałam ją ja – do faszerowania.

Też przed Wigilią szliśmy do naszej łaźni, która stała nad jeziorem, i jakoś dokładniej niż zwykle się myliśmy. W domu też wszystko musiało błyszczeć. Na ziemię, kiedy jeszcze nie było tam drewnianej podłogi, sypałam świeży, jasny piasek. Jak Janek położył już podłogę, to na kolanach szorowałam do czysta. Dokładnie wymyty był też stół i na nim kładłam siano, na to obrus i dopiero potem naczynia. Jak już wszystko przygotowałam i można było dojrzeć pierwszą gwiazdę, modliliśmy się. Po modlitwie Janek dzielił się najpierw ze mną opłatkiem, a potem z dziećmi i było to bardzo uroczyste. Towarzyszyła mi wtedy taka myśl, że oto jesteśmy razem, na swoim własnym gospodarstwie, i że sobie radzimy. Opatrzność Boska nad nami czuwała. Kolację, oczywiście postną, zaczynaliśmy zupą grzybową, borowikową. Te borowiki,

specjalnie na Wigilię zbierane, były małe i dlatego pływały w zupie w całości. Dzieci uwielbiały je wylawiać. Potem oczywiście ryby, gotowana kapusta, placki nadziewane kapustą, no i na koniec ślesziki. Po kolacji każdy wyciągał

spod obrusu jedną słomkę. Kto miał najdłuższą, temu zapowiadał się szczęśliwy rok. Z tymi śleszikami też było trochę śmiechu. Każde dziecko je chowało w dłoniach i rodzeństwo musiało zgadnąć, ile ich tam w tych rękach ma –

jeden śleszik, czy dwa ślesziki. Jeśli zgadło – dostawało ślesziki, jeśli nie, to musiało oddać swoje. Wygrywał ten, który miał ich najwięcej. A na koniec Janek brał siano i szedł dzielić się nim ze zwierzętami.

Pięknie było.

Iwona Płonowska

Bliskie spotkania z betonem

Ten, kto planuje mieć dzieci, powinien upewnić się, czy ma sąsiada weterynarza. To bardzo ważne i ułatwiające życie. Tak było w przypadku mojej rodziny. W czasie gdy mieszkaliśmy na gdańskim osiedlu Morena, nasza rodzina żyła pod dyktando trzech paroletnich chłopców. Imiona tych trzech muszkietarów to: Paweł, Łukasz i Mieszko. Mieszkanie o powierzchni 42 m² wręcz prowokowało sytuacje kolizyjne między braćmi. Całą trójkę rozpieierała nigdy niekończąca się energia, więc kłótnie, bijatyki i przypadkowe utarczki były na porządku dziennym. I tu sytuację ratował sąsiad weterynarz. Bardzo spokojny i sympatyczny pan profesor z ogromną dozą empatii i zrozumienia przyjmował moje dzieci. Konsternacja? Zawsze, zanim pojechałam z synkiem na pogotowie, pukaliśmy do drzwi sąsiada z prośbą o decyzję, czy w przypadku takiego uszkodzenia ciała udać się na pogotowie czy nie. I zawsze jego rada była dobra. Gdy pukając do jego drzwi, nie potrafiłam ukryć swojej bladości i drżenia rąk, uspokajał mnie, mówiąc: „Niech się sąsiadka uspokoi, do mnie pacjenci przychodzą na czterech łapach, a on idzie jeszcze na dwóch”. Gdy diagnoza weterynarza bezwzględnie nakazywała jechać na pogotowie, to jechałam. Na pogotowiu – wiadomo – dy-

żurują różni lekarze, a pomimo to witali mnie z uśmiechem i pytaniem: „O, pani Iwona, a dzisiaj z którym pani przyjechała?”. Gdyby nie sąsiad weterynarz, to liczba naszych odwiedzin w placówkach medycznych kwalifikowałyby się na wykupienie abonamentu.

Pewnego wiosennego i ciepłego dnia mój najstarszy syn, mający wówczas siedem lat, wyszedł z deskorolką przed blok. W tamtych czasach (lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte) było to normalną praktyką, że dzieci bawiły się na podwórkach. Jego młodszy, czteroletni brat Łukasz bardzo mnie prosił, aby wyjść z Pają (jak mówił na Pawła). Targały mną różne obawy, a wiedząc, że tego dnia nie wyjdę na spacer, bo mały Mieszko był chory, zgodziłam się. Pawełek był bardzo opiekuńczy, a ja i tak prawie cały czas spędziłam w oknie, śledząc ich zachowanie. Jednak przeoczyłam fakt, kiedy Łukasz pożyczył deskę od brata i zaczął zjeżdżać z górki. Górka była mała i pokryta nierównym asfaltem, deskorolka niska, a Łukaszek zjeżdżał, położywszy się na niej na brzuchu. Tak się zapamiętał w zabawie, że nie czuł, że zjeżdżając w ten sposób, szoruje twarzą po asfalcie. W pewnym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi, więc ja z obłędem niepokoju w oczach i rozwianym włosiem otwieram. I co

widzę? W drzwiach stoi Łukaszek. Osłupiałam i z niedowierzaniem połączonym z przerażeniem patrzyłam na twarz mojego synka. Zjeżdżając z górki, bardzo dokładnie rył buzią po asfalcie, więc jego twarz pokryta była potem zmieszonym z krwią, brudem i powbijanymi pod skórę drobinami asfaltu. W tym momencie zadziałałam instynktownie. Chwyciłam Łukasza i zaczęłam go rozbierać jednocześnie nalewając wody do wanny. Nie zwracałam uwagi na płacz i krzyki Mieszka i Łukasza. Wsadziłam synka do wody, namydliłam najbardziej ostrą i chropowatą gąbką, jaką miałam w domu, zastosowałam odpowiedni chwyt, żeby mi się Łukasz nie wyrwał, i zaczęłam szorowanie. Do dzisiaj nie wiem, skąd miałam tyle siły i opanowania, że potrafiłam to zrobić. Tarłam po buzi bardzo mocno, bo asfalt wbił się głęboko, a nie chciałam, żeby został pod skórą na stałe. Synek tak krzyczał, że w pewnym momencie zabrakło mu sił, a jeszcze czekała go woda utleniona. Po całej tej szarpaninie był tak zmęczony, że usnął.

Kiedy goiła mu się buźka, to wszyscy spotkani ludzie z zaciekawieniem pytali o przyczynę tych ogromnych strupów. Potem już nie wykazywał ochoty do jazdy na deskorolce, a twarzą mu się ładnie zagoiła – nie pozostała na niej żadna blizna.